

ZOFIA KLĘPKA

ur. 1927; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	ulica Nowa, sklepy, Żydzi lubelscy, targ przy ul. Świętoduskiej, targ za magistratem, projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów

Ulica Nowa w Lublinie w dwudziestoleciu międzywojennym

Kiedyś od Bramy Krakowskiej szła ulica Nowa – teraz Lubartowska – do samej ulicy Kowalskiej. [Po jednej stronie były kamienice], po drugiej stronie to właściwie był rynek, takie kramy, budy z pieczywem, bardzo dużo tego było, jedno przy drugim, cały rząd, od dworca, gdzie były autobusy, aż do ulicy [Kowalskiej]. A w głębi był targ – tam były jatki, bo nie było żadnych sklepów mięsnych, cały rząd był tych jatek, mięsa pełno. Żydówki na placu śledziami handlowały, w beczkach miały śledzie i jeszcze [inne] przysmaki, jakieś jabłka kiszzone. [Wołały]: „Hajse bobete! Hajse bobete!”. Nie wiedziałam, co to jest to „bobete”, myślałam, że to bober, ale mama moja mówiła, że chyba kartofle; „hajse” to gorące, ale „bobete” – nie wiem. Kiszzone jabłka Żydzi mieli w wiadrach, tak jak ogórki, wodą z solą zalane jabłko. Każdy [kto] chciał jabłko, to sobie kupował, tylko na sztuki, nie na wagę. Kupiłam sobie kiedyś jabłuszko, ugryzłam raz i rzuciłam z powrotem w te jabłka; on mówi: „Ty, gówniara, coś ty mnie zrobiła?”, „Wyrzuciłam jabłko, bo ja nie chcę tego, niedobre”. Siedzieli z tymi wiadrami. Żydzi to się tak czepiali wszystkiego, czego mogli, żeby tylko zarobić. [Przy ulicy Nowej sklepików] było mnóstwo – po prawej stronie, jak się wyszło z Bramy Krakowskiej. Najpierw była wędliniarnia polska, a dalej były już: galanteria, sklep bławatny – to taki z materiałami. Pan Chawkin miał sklep bławatny i zaczętał mamę, bo dużo rzeczy kupowała, bo [była ona] i my, dwie córki, trzeba było nas ładnie ubierać i siebie też. „Pani Trojniakowa, mam dla pani sam cymes – wszystko było cymes, nawyciągał tych belek, rozkładał – To na bluzeczki, to na mundurki, to dla Zosi, to dla Irenki, to dla pani. Och, co ja tu mam dla pani”. [Była] taka sukienka [z materiału, który nazywał się] crepe mat, bo było na jednej stronie błyszczące, na drugiej matowe – to mama sobie kupiła. W tej sukience od Chawkina nawet mama ma zdjęcie. „Panie Chawkin, ale ja nie mam tyle pieniędzy przy sobie”, „A czy ja się pani pytam o pieniądze. Niech pani bierze i niech pani idzie z bogiem. Ja się pani nie

pytam, bo pani i tak przyniesie”. Mama pierwszego brała pieniądze, rozliczała się, bo nieraz trzeba było też, jak to się mówiło, zborgować. Teraz to kredyty, a kiedyś to borg. W spożywczym sklepie taki borg był też – jak zabrakło czegoś, to ten pan nas znał. Moja mama była lubiana, bo była sympatyczna, kobieca i ze wszystkimi umiała postępować. I dzieci mamę lubiły, wszyscy.

[Ester] Rubinsztajnowa miała wielki sklep, kolonialno-spożywcze artykuły. Przede wszystkim ona miała takie pyszne, wielkie, szwajcarskie sery, to były wielkie głowy sera zawinięte w celofan, z czerwoną skórką. Jak się kroilo, to [był] taki specyficzny zapach, taki prawdziwy szwajcarski [ser]. Pani Rubinsztajnowa uwijała się za ladą, Żydóweczka w peruce. Kiedyś jej się peruka skrzywiła, ja mówię: „Proszę pani”, „Co chciałaś?”, „Peruka się pani skrzywiła”. „Idź do diabła”, powiedziała, bo się zdenerwowała, myślała, że ja ją oszukuję. Mówię: „Ja nie oszukuję pani”. I jakaś pani stała koło mnie, mówię: „Niech pani powie, żeby poprawiła perukę”, mówi: „Pani Rubinsztajnowa, Zosia pani powiedziała prawdę, pani się peruka skrzywiła”, „Tak?”, „O, to dziękuję, dziękuję ci”, ja mówię: „To niech pani mi da cukierka”. No to dała mi grosz, żebym sobie kupiła dwie rybki za grosz. Od babci [też wołałam] nieraz: „Babciu, masz jakieś grosze?”, babcia tam miała dwa, to grosz – to ja po te rybki. To była moja trasa – Brama Grodzka i rybki. [W sklepie Rubinsztajnowej] było wszystko do jedzenia. Takie kolonialne [artykuły], na przykład pomarańcze, figi, wanilia – takie rzeczy sprowadzane, luksusowe. Jak później przyszła zima, to [były] bażanty, kuropatwy. Ona wiedziała, gdzie znaleźć takie różne smakołyki. No i ze słodczy to [były] takie łomy – grube kawały czekolady na wagę, chyba dwa złote kilogram. Jak sobie kupiłam tej czekolady, to jadłam kilka dni, aż mnie zemdliło. Na Krakowskim był sklep Wedla, tam [też] był ten łom czekoladowy, ale to Polak miał.

Data i miejsce nagrania	2011-10-25, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"